

ANTONI. SZECH

DŁACZEGO?

WARSZAWA

KSIĘGARNIA E. WENDE I S-KA (T. HIŻ I A. TURKUŁ)

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 15

—
1908

ANTONI SZECH

DŁACZEGO?

WARSZAWA

KSIĘGARNIA E. WENDE I S-KA (T. HIŻ I A. TURKUŁ)

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 15

—
1908



5726

DRUK JANA KAMIŃSKIEGO
WARSZAWA
NOWY ŚWIAT № 48
TELEFONU № 36-46

Celem uniknięcia zbytecznych komentarzy tłumaczących fakt wyjścia mojego z szeregów hierarchii katolickiej, uważam za stosowne powiedzieć od siebie tych słów parę—

Nie strach przed opinią naszej „większości“ wkłada mi pióro do ręki, bo z opinią tą nie liczyłem się nigdy—ani się liczyć nie myślę—

I wiem, że potępienia ze strony „poważnej“ i „trzeźwej“ części naszego społeczeństwa nie uniknę, a na szyderstwa obalamuconych tłumów, gadzinowe machinacje różnych „obrońców“ Boga, pobożne plwania naszych faryzeuszów i modne teraz przeróżne bojkoty — jestem gotów—

Piszę—bo o tem, co w duszy mej było, nikt prócz mnie wiedzieć nie może, i ja tyl-

ko—a nikt więcej—wyjaśnić jestem w stanie, dlaczego czynię to, co dziś czynię—

I zdaje mi się, że wyjaśnić to powinienem na świadectwo Prawdzie—

Więcej pisać o tem nie będę: niech mnie sądzą, jak chcą—

*Anima mea desideravit te
in nocte.*

*Dusza moja pożądała Cię wśród
mroków nocy.*

Is. XXVI. 9.

Szukać Prawdy—

Oto jedyny cel, godny człowieka—

Cel nie narzucony nam zzewnątrz, nie nakazany przez jakąś, choćby najczcigodniejszą, najwyższą powagę, ale tkwiący w samej najistotniejszej głębi naszej ludzkiej istoty, będący wewnętrznym imperatywem naszego ducha, męką jego, pragnieniem, ukochaniem—

Życie ducha ludzkiego, jeśli ono życiem prawdziwym jest—czy w pojedynczych jednostkach, czy w ludzkości całej—to nieustanna tęsknota za Prawdą i z tej tęsknoty płynące, wiekuiste Prawdy szukanie—

Jak oko ludzkie potrzebuje światła, tak duch ludzki—Prawdy, która światłością, słońcem, jasnością jego—

Wśród ciemności nocnych, gdy mrok ponury wszystko kryje, gdy przez gęste chmury opony żaden gwiazdny promyk przedrzeć się nie może, gdy wokoło jednostajna, martwa, grobowa, rozpaczna ciemność,—z jakim utęsknieniem wyglądamy najmniejszego choćby światełka—z jakim upragnieniem oczekujemy, by się przedarły całuny chmur, i by nam gwiazdka jaka zabłysła—jak miłe nam wtedy światełko, migocące przez szyby rzuconej kędyś w oddali lepianki lub choćby blask świętojańskiego robaczka albo drżący płomyk błędnego ognika—

Jakież to święto dla więźnia, gdy przez szczelinę jaką do ciemnego lochu zabłąka się złoty, jasny promyk słońca—lub choćby blady odbłask księżycy—

Z jaką czcią witamy wszyscy wschód zory porannej po długich nocy ciemnościach—

A piekło, według pojęć wszystkich narodów—to mrok wiekuisty—to ciemności, których żadne nigdy nie rozświeci światło, do których nigdy żaden nie przeniknie promień, których nigdy żadne nie rozproszy słońce—

Tak duch ludzki pragnie światła prawdy—bez prawdy żyć on nie może—

Prawda—wiekuistą tęsknotą, męką, udręczeniem jego—ukochaniem jego i jego chwałą, ozdobą, pięknnością, chluba—

On bez niej w udręczeniu, w niepokoju żyć będzie zawsze—jak nie uspokoją się nigdy fale oceanu i jęczeć będą wiecznie jakieś pieśni smutne i szemrać żalem odwiecznym i skarżyć się niebu i Bogu, i ludziom—

Jak nie uciszą się, nie zamrą nigdy tęskne za czemś gonitwy wichrów po świecie szerokim—po górach—lasach—morzach—wiecznie—wiecznie....

W zaraniu życia swego duch ludzki ukochał Prawdę—Ona kochanką jego wiekuistą—

Z Boga-Prawdy poczęty spocząć nie może on wprzód, aż Boga-Prawdę odszuka—

Jak Peri w płaczu za rajem, nie utuli się on nigdy, bo Prawdy osiąść nie może—

I biadaby mu była, gdyby się utulił, gdyby o Prawdzie i jej szukaniu zapomniał, bo dwie tylko drogi ma do wyboru: tęsknić—szukać Prawdy—dręczyć się, że jej osiągnąć nie może,—szarpać się—ludzi—wznosić w niebiosy—wpaść w zwątpienie, w otchłań rozczarowania, ale pragnąć jej zawsze i w tej tęsknocie, pragnieniu, dążeniu, upadkach nawet doskonalić

się, podnosić, wyszlachetniać — albo spodlec,
shańbic się, zmarnieć, zwątpiwszy o niej, zapo-
mniawszy o niej, zamarłszy dla niej zwłaszcza—

Ceres, szukająca z trwogą Persefony—Orfe-
usz, co góry, doliny, lasy i morza tęsknem
wołaniem swem napełniał, szukając utraconej
kochanki—

I ponury, tragiczny żyd wieczny tułacz—

I z rycerskiego zrodzone ducha święte po-
dania o Graalu —

To wszystko symbole tego wiekuistego szu-
kania, tej wiekuistej, niezaspokojonej niczem
tęsknoty, która, jak przestwór morza, to się
uciszy niekiedy pozornie—to odzywa się w du-
szy dziecięcą, dziewiczą skargą, łagodnie i ci-
cho—to szemrze rozpacznie—to znów zajęczy
w sercu boleścią, ogromną jak świat—zahuczy
burzą, że niebo, zda się, chciałaby roztrącić,
byle przedmiot pożądań swoich odnaleźć—

Historia ducha ludzkiego—to jedna wielka,
bolesna, zawodów i krwawych cierpień pełna
historia pogoni za Prawdą—

Wygnanka nieba—dusza ludzka—w ciem-
ności ziemskie rzucona, a nostalgiją za światłem
nosząca w sobie—tuła się—błądzi—płacze—smu-
ci się—tęskni—miota się rozpacznie—

I szuka—szuka.....

To kwili, jak dziecię, co ledwie zrodzone,
nie wie jeszcze czego i za czem płacze—i co rą-
czki do czegoś wyciąga i oczyma czegoś szu-
ka, nie wiedząc, czem się utuli—

To, jak Prometeusz, wdziera się do nieba
i Bogu tajemnicę chce wydrzeć, choćby kosz-
tem ofiar największych i wiekuistych męczarni—

To niebu—jak owe olbrzymy—wydaje woj-
nę, ufna, że to, czego pragnie tak bardzo, osią-
gnąć musi—i że nikt i nic—Bóg sam nawet—
przeszkodzić jej nie potrafi—

To trwożna i drżąca gwiazd pyta o drogę

do Prawdy—i w szaleństwie miłości, sama nie wiedząc, co czyni, ptaków się radzi, snów się pyta, przed pniami drzew odwiecznych upada, tajemniczych świata wzywa potęg, bo od nich może czegoś się dowie o przedmiocie swego kochania—

To na pustynię idzie i w milczeniu nieba i ziemi, wśród ciszy wszechświata wpatruje się w siebie, bo myśli, że z niej samej, z głębin jej tajemnych wytryśnie Prawda—

To po lasach błąka się ciemnych, po górskich urwiskach i po jaskiniach odludnych—

To w wątpieniu szaleje i Prawdę klnie, tę ukochaną, a tak niewdzięczną i taką zwodniczą—

I szuka szczęścia w tem, co życie daje, co dać jej obiecuje przynajmniej—

To znów, niespodzianie, z objęć się światowych rozkoszy wydziera i z większą tylko niecierpliwością znów goni—

To w słowa mędrców wsłuchuje się z pokorą i ze czią dziecięcą—mędrców, co od Boga przyszli i Boskie głoszą słowa—

I narazie zda się jej, że Prawdę w ich słowach znalazła, i w uniesieniu szczęścia tym wysłańcom Bożym całuje stopy—i w holdzie im wznosi świątynie—i cześć im oddaje—

Aż czasem znów pozna, że to, co wprzódy za Prawdę uznała—za całą Prawdę—tej Prawdy odbłaskiem było tylko, iskierką drobną—a nie słońcem—bezmiarem—

To u stóp Chrystusa siada z Magdaleną, korna, i w zachwycie w natchnioną twarz Mistrza wpatruje się cicha—

To znowu smutna odchodzi odeń—

I błądzi—znów błądzi—

I znowu szuka.....

Z nieba—czy z piekła—czy z otchłani jakich—czy z jakich gwiazdnych obszarów—byłe ją dostać, tę Prawdę, boską kochankę—

I pośród nocy ciemnej, w której mrokach
błąkała się ludzkość, czasem ciemność panowa-
ła okrutna, bezgwiezdna, zupełna—a czasem
nieba skrawek zamigotał gwiazdą przeczystą,—a
czasem światło błysnęło gdzieś od ziemi lub
promyczek lichy przyszedł z kąci nagle i uciekł
—to srebrny promień przybieżał księżycy i bez-
kresny smutek w cichą, pokorną zamienił zadu-
mę—to znowu zorza się wzniosła i jasno świe-
ciła czas jakiś—aż zgasła—

I nad ludzkością kolejno te światła i te
ciemności przechodziły zdawna, coraz to nowe
wznosiły się zorze, by gasnąć znowu—

Ale blask prawdziwy—

Dzień wiekuisty nie zajaśniał nigdy—

Coby tęsknotę ludzkości ukoił i tę mękę
jej nazawsze uciszył—

I ona szuka—wciąż szuka— —

Snać tu na ziemi szukanie nam celem—tę-
sknota—żądza Prawdy—

Jak doskonałości żaden osiągnąć nie zdoła
i szukać jej musi zawsze—tak i Prawdy—

Z tęsknotą swoją ludzkość pozostanie, z nie-
nasyconą nigdy żądzą Prawdy, z męką tą swoją—

Ale choć wie o tem, że Prawdy nigdy
tutaj nie osiągnie, przestać nie może jej szukać—

Bo zabić siebie musiałyby chyba—

To szukanie—duszą ludzkiej duszy— —

* * *

„Quid est veritas?“—Co jest Prawda?

Wielu jest takich, którzy widokiem nieu-
stającej, a tylu zawodów pełnej gonitwy ludz-
kości za Prawdą zrażeni, nie wierząc, by Praw-
da wogóle osiągnąć się dała—o szukaniu jej
nie myślą—

Tyle razy ludzkość już się omyliła—tyle
razy brała coś za Prawdę, co wyklinała potem—

Tyle już razy jedna prawda zwyciężała drugą—

Tyle już razy ośmieszono to, przed czem wprzódy miliony gięły kolana—

Że zdaje się im wszelkie szukanie Prawdy szaleństwem—

I tłumiąc w sobie wiekiustą, a nigdy zupełnie zagłuszyć się niedającą tęsknotę— starają się życie zapełnić czem innym—

Żyć—dla życia samego—

Pełnią się życia zmysłowego nacieszyć, wy-czerpać to szczęście, które świat ten widomy, poznawalny dać może—

Prawdę—czczą i oni może— --

Ale krwawić stóp swych, po ostrych szukając jej ścieżkach, ale rozdzierać kolan swych, na podniebne wdzierając się szczyty w pogoni za nią, ale w mroki burzliwych i strasznych zapuszczając się nocy, by tę zwodnicę znaleźć—nie mają ochoty—

I szczęścia ziemskiego użyciem—gaszą, tłumią wiekiustą tęsknotę—

Wielu jest takich, a więcej jeszcze tych, co w fałszywej ducha pokorze czy w gnuśnem ducha lenistwie na innych to szukanie chcą złożyć, na tych, którym zaufali—gotowi przyjąć to, co inni za prawdę im dadzą—

Żądni spokoju, chcący Prawdę mieć, ale bez pracy, bez trudu, bez męczeństwa ducha, bez ducha rozdarcia, niepomi, że Prawda, jak człowiek, bez bólu się nie zrodzi, gotowi są zgóry wszelką prawdę uznać, jaka im podana będzie, byle sami o nią starać się nie potrzebowali—

Stąd te tłumy wierzących na słowo, gotowych walczyć za prawdę, którą przyjęli od innych, nie wiedząc nawet dobrze, dlaczego, ani czem jest ta prawda—nienawidzących każdego, kto śmie ich zwątpieniem swoim nie-

pokoić—za wrogów mających ludzi, co do Prawdy świadomie iść chcą—

Te tłumy niezliczone leniwców ducha, niewolników różnych autorytetów, gotowych na męczeństwo niewoli i na niszczenie wszystkiego i wszystkich, co im spokój bezmyślny psuć mogą—

Ale są i tacy, co tęsknotą za Prawdą nękami, niczem się od jej szukania odstraszyć nie mogą—co idąc za przymusem wewnętrznym, pomimo wszystkiego i przeciw wszystkim jej szukają—co we łzach, w cierpieniu, w walce nieustannej, poprzez ciemności nocy duchowej i przepaście niezliczonych niebezpieczeństw—poprzez góry i morza—tortury i stosy—wśród przekleństw ludzkich i obelg i szyderstw idą do Prawdy, bo iść muszą, i żadna moc, żadna siła wstrzymać ich nie zdoła—

Idą, choć łzy nieraz zaleją im oczy, choć serce krwawi się z bólu, choć najbliżsi ich odstąpią, choć rodzina własna ich przeklnie, choć siostra rodzona wrogom ich wyda—

I choć zbłądzić mogą i zamiast w światło w noc pogrążyć się tylko ciemniejszą—

I choć zginąć może, nieżałowani przez nikogo, a grób ich z przekleństwem mijać będą tłumy, a imię ich postrachem się stanie i kłutwą, i straszyć niem będą matki dzieci swoje—

Ci miłośnicy tej boskiej, a niewdzięcznej tak często kochanki—ci poszukiwacze Prawdy—ci męczennicy jej—te nieraz jej ofiary smutne i rozbitki—

A jednak iść muszą—i szukać muszą....

*
*
*

Młodzieńcem jeszcze myślałem, że Prawdę odnalazł, kiedy to umysł mniej krytyczny, a serce pełne zapału, pełne pragnień wielkiego ukochania—kiedy człowiek wierzyły jeszcze

w to nie chce i nie może, że w stosunku do Prawdy zawsze jest dzieckiem, głupcem, nieświadomionem dzieckiem—

Że przez całe życie pielgrzymem jest tylko do Prawdy wśród nocy ziemskiego wygnania— że błąkać się musi—i szukać—szukać—

Kiedy tak łatwo się ludzi pozorami prawdy i w słabych zaledwie jej przeblyskach widzi już zorzę wschodzącego słońca wielkiego poznania—

Zdawało mi się wtedy, że m Prawdę odnalazł, nie zmęczywszy się nawet jeszcze szukaniem jej, bez męki ducha, bez ofiary—że ona sama przyszła do mnie i pokój mi wielki przyniosła—

I dziwno mi było, czemu jej ludzie szukają tak długo, poco się tak dręczą w pogoni za nią i poco na piekło zwątpień się skazują—na niebezpieczeństwo szukania jej wśród bezgwiezdnej nocy, po stromych ścieżkach życia—

Wzniosłość nauki Chrystusa, którą Kościół za swoją podawał, na której i z której wyrósł—Ewangelia, którą przez ciąg wieków głosił ludzkości i na której się opierał—a która i dziś nie przestała być „dobrą nowiną“—i najświętszą, najczcigodniejszą księgą ludzkości—

Tajemnica dziwnych, niewyjaśnionych i wyjaśnić się niemogących dogmatów—

Poezya obrzędów—legend naiwnych nieraz, lecz świeżych i pięknych—

Wielkie postacie niezliczonych męczenników, doktorów Kościoła, mędrców—

Święta aureola męczeństw i prześladowań, wśród których żył i wzrósł Kościół—

Cnota wyznawców, białe zastępy dziewic z liliami w przezręczystych dłoniach—

Głębokie przeświadczenie o swej prawdzie i niezłomne, niewzruszone stanowisko wobec burz niezliczonych i pocisków ludzkiej myśli, ludzkiej głupoty i ludzkich namiętności—

Słabość i płytkość większości zarzutów, przez nieprzyjaciół Kościoła najczęściej mu czynionych—

Marność i bezduszość życiowa tych, co się za wyzwolonych od przesądów mieli—

Potrzeba ukochania jakiejś wielkiej idei, świętej i wzniosłej — i jakiegoś niezłomnego, niewzruszonego oparcia, na którym stanąć by można, i zasady jakiejś, by życia swego na wichry losów niepewnych, na złudy namiętności ludzkich i zwodniczych, a modnych hasel nie podawać—

Wszystko to razem sprawiło, że bez długich walk—i wahań—i badań—i studyów—za Prawdę przyjąłem naukę Katolickiego Kościoła—

A przyjąwszy ją, ukochałem ją całą mocą młodego serca, całą potęgą gorącej, żądnej Prawdy duszy—

Ukochałem ją dla siebie i innych—

Niä chciałem świat cały uszczęśliwić, podnieść—

Sam posiadłszy—jak mi się zdawało—Prawdę, marzyłem o tem, by innym ją dać, by i oni już się nie błakali po bezdrożach, nie ginęli w smutku i rozpaczy—

Naukę tę, którą za Prawdę przyjąłem, chciałem wcielić w życie w całej pełni, życie moje całe według niej ułożyć—chciałem przejąć się nawskroś jej duchem—

I z radością i ze drzeniem serca, przejętego szczęściem poznania Prawdy, życie swoje, wszystko, co miałem i mieć mogłem—wszystko, czego chcieć mogły zmysły i domagać się młode serce—złożyłem w ofierze ukochanej idei—

Stając się zakonnikiem, chciałem w czyn wprowadzić to, co przyjąłem za Prawdę, i stać się głosicielem tej prawdy wobec braci swoich—ofiara dla ich szczęścia—

To były czyste, szlachetne marzenia młodzieńcze—i z całym krytycyzmem i sceptycyzmem dzisiejszych lat moich myśląc o tej chwili, świadectwo dać muszę, że cienia jakichkolwiek niższych pobudek w postanowieniach moich ówczesnych nie było—

Służyć chciałem poznanej i ukochanej prawdzie—

Dać poznać innym tę prawdę—

Żyć i umrzeć dla niej— —

I trwało to czas jakiś — i dobrze mi było wtedy—i pomimo braku wszystkiego, co ludzie szczęściem zowią, byłem szczęśliwy, pokój wielki był w duszy mojej, i chwile miałem nieraz błogosławionego podniesienia ducha i najśłodszych pociech duchowych—

To był mój Tabor duchowy— —

* * *

Nie będę tu kreślił historii mej duszy w przeciągu 12 lat mego pobytu w zakonie—byłoby to długie i niepotrzebne—

Każdy ma inną drogę duchowego rozwoju i z doświadczeń i z przejść cudzych niewiele się uczy—

Dość, że przez ciąg tych 12 lat życia, najlepszych lat młodości, lat największego zapału, najpiękniejszych porywów—lat pracy, walk, uniesień i przygnębień, zapału i apatyj, radości i śmiertelnych cierpień — to, co wprzód wydawało mi się prawdą jasną, świętą, cudną, bladło—bladło—gasło—coraz to mniej wyraźne przybierało formy—aż wśród mroków się rozplynęło— —

Wielka miłość już w samej sobie ma zarodki śmierci, bo zazwyczaj na wyidealizowaniu przedmiotu swego się opiera—

Zanadto wyidealizowałem Kościół, abym ten ideał odnał w nim mógł—aby rzeczywistość zimna, smutna, bezlitosna rozproszyć nie miała mych świetlanych złudzeń—

Był to pierwszy szkopuł — owa straszliwa przepaść między ideałem Chrześcijańskim a tem, co widzimy wcielone w społeczeństwie wiernych, — między ideał Chrystusową, a tym obozem reakcyi, bezduszości, bezruchu, faryzeizmu, obłudy, jakim w przeważnej części stał się Kościół—jakim mnie się przynajmniej przedstawiał—

Studia teologiczne, którym z obowiązku przez czas jakiś oddać się musiałem — przerażająca bezduszość teologicznych rozumowań—słabość argumentacyi, na których opiera się całokształt katolicyzmu,—zaszczepiły w mej duszy zwątpienie, które w połączeniu z tem głębokiem i wciąż rosnącym rozczarowaniem do tego, co uważałem wprzód za najświętsze, rosło wciąż w mej duszy—szarpało ją—dręczyło...

Dziewięć lat kapłaństwa — to jedno pasmo tych walk i mąk duszy, spotęgowanych jeszcze okolicznością, że nikomu z tem, co cierpię, zwierzyć się nie mogłem, nikomu duszy otworzyć, by tego, co za jad, trujący ją, uważałem, innemu nie wszczepić—

W samotnej, szczupłej celi, wśród ciszy klasztornej, wśród milczenia murów, którymi od świata odgrodzić się chciałem,—dusza moja wrzała walką o ten ideał mój najdroższy, ukochany, który zwątpienie, jakby jakiś potwór straszny—pochłonać chciało—

Walka ta nie ustawała ani na chwilę — towarzyszyła wszystkim moim ćwiczeniom, praktykom, modlitwom — —

Korzystając z konieczności wyjazdu zagranicę, bo zdrowie moje nadwreżyło się bardzo, — starałem się spotykać z ludźmi, uważanymi za świętych i uczonych, — ich pytałem

o radę, ale wszystko, co słyszałem, nie przynosiło mi ulgi—

Więc czytałem, czytałem wiele, ale tembardziej przekonałem się, na jak kruchych i wątpliwych podstawach opiera się t. zw. „prawda katolicka“—Mnie przynajmniej argumenty te przekonać ani uspokoić nie mogły—

I szły tak miesiące i lata — lata młodzień-
czych zapałów i złudzeń— —

Dla kogo to, co daje wiara, zajmuje w życiu tylko dodatkowe miejsce,—albo kto na wiarę patrzy ze stanowiska jakichś doczesnych interesów, które ona zapewnia, bez względu na to, czy się opiera na Prawdzie—czy jest Prawdą, ten nie zrozumie duchowego konania, jakie przejść musi człowiek, który wszystko w swem życiu na tej wierze oparł,—nie odczuje trwogi, z jaką się konstatuje najmniejsze osłabienie jej potęgi w duszy, tego przerażenia, gdy ona pomimo wszelkich wysiłków gdzieś ginie—

Takiemu, co na niej ugruntował życie, zniknięcie jej równa się śmierci, z nią razem grunt się usuwa do życia, ziemia się rozstępuje pod nogami, niebo zdaje się kruszyć wśród burzy i gromów, by zmiążyć go w proch— —

I oto po 12 latach walk, wysień, cierpień, obserwacyj, badania doszedłem do przekonania, że się omylił wtedy — że pozornie tylko Prawdę wówczas odnalazł—że się łudził długo, myśląc, że Prawda jest *tu* lub *tam*—bo ona gdzieś przed nami, wielka i święta, ale ukryta i nieuchwytna — i nikt w monopol wziąć jej nie może, nikt jej wyczerpać dla siebie i swoich — nikt zamknąć w swojej gdzieś skrytce, na swój wyłączny użytek—

I przekonałem się, że jej nie znalazł dotychczas—że iść mi po nią trzeba znowu, choć już minęły lata młode zapału i porywów,—rozpo-

cząć znów pogoń za nią po stromych ścieżkach
ze zbolałą, zmęczoną już duszą—i szukać, znów
szukać, wśród ciemności, burz, wichrów, no-
wych złudzeń i nowych zwątpień—

I nie twierdzę, że i teraz się nie mylę—
i nie twierdzę, że wszyscy tak uczynić powinni,
jak ja, — i nie narzucam nikomu wniosków, do
których doszedłem—

Nikomu psuć wiary nie chcę, jeśli ona komu
odpowiada, jeśli kto w niej upatruje Prawdę—

Wiem, co znaczy wiara, i czem grozić może
jej utrata, więc lekkomyślnie burzyć jej w du-
szy nie chcę niczyjej—

Może ja dziś w większym jestem błędzie,
niż wprzód—

Może— —

Ale mnie się zdaje, że nie—

Rezultatem tych lat 12 dla mnie jest prze-
konanie, żem się omylił wtedy—

Że w nauce Kościoła są przebłyski Prawdy,
jest jej może więcej, niż gdzieindziej,—że jest
tam wielkie Prawdy przeczucie, ale że tam nie-
cała jest Prawda—i nie wszystko jest Prawdą—

I że kto Prawdę kocha rzeczywiście, a zwąt-
pił o niej w Kościele, szukać jej powinien da-
lej, wszędzie, gdziekolwiek znaleźć się ją spo-
dziewa, — i że tego nikt mu zabronić nie ma
prawa, bo Bóg jest Prawdą, więc dążyć do
Prawdy, to do Boga dążyć, a w tem jest praw-
dziwa religia—

Nie śpieszyłem się wcale z przyjęciem i wpro-
wadzeniem w czyn tych wniosków—

Wiem, jaką tajemnicą jest dusza ludzka, ile
tam może działać nieświadomych czynników,
niższych, mniej szlachetnych, zaciemniających
blask Prawdy—

Wątpilem długo o słuszności moich zwąt-
pień, posądzałem siebie o nieszczerłość w sto-

sunku do Prawdy, posadzałem siebie więcej, niż ktokolwiek posadzałby mnie śmiało, bo niktby lepiej odemnie znać nie mógł wszystkiego, co się tać mogło w mej duszy—

Lękałem się pośpiesznych wniosków, łudziłem się, że rozproszyć zdołam te chmury, co mi dawniejszą moją Prawdę zakryły,—przeciwko nadziei nadzieję mieć chciałem, że prawdę Kościoła znowu uznam za swoją—

I sam przed sobą przyznać się nie chciałem, żem o niej zwątpił, żem już od niej odszedł—

I nie przez obłudę, ale w niezamarłem jeszcze oczekiwaniu jakiejś odmiany, nie chciałem niczem okazać tego, co w duszy mej zaszło—

I podejrzliwym, niechętnem samemu sobie okiem wpatrywałem się w duszę, czy niema jakich innych pobudek, któreby mnie do stanowczego kroku popychały—

Pobudek, z umiłowaniem Prawdy, z szukaniem jej, ze szczerem do niej dążeniem, ze służeniem jej nie mających wspólnego—

I dopóki jakąkolwiek jeszcze miałem wątpliwość—czekałem— —

I tak przeminęły mi lata młode — opadły kwiaty górętszych, świeżych uczuć—rozplynęły się, jak mgły poranne, złudzenia młodzieńcze—jak liście w jesieni, wichrem gnane, uleciały najśłodsze marzenia—

Ze spokojem, rozważą dziś patrzę w życie moje, w duszę moją i w przyszłość moją—

I powiedzieć mogę z całym przeświadczeniem, że nie lekkomyślnie czynię to, co czynię—

Ale z całą świadomością, że inaczej uczynić nie mogę—i nie mam prawa—

* * *

Czas jakiś myślałem, że jeśli już nie dla

siebie, to dla innych, którym zgorzenie dać-
bym mógł stanowczym krokiem,—iść powinien-
nem drogą raz obroną.—

Tłumaczyłem sobie, że wszak w religii jest
tyle rzeczy istotnie pięknych i wzniosłych,
które tylko wydobyć potrzeba i ludziom przed
oczy postawić, by pożytek przynieść społe-
czeństwu —

Więc, że pomijając rzeczy, o których ze
szczerością i przekonaniem mówiłbym już nie
miał prawa, mógłbym jeszcze w *duchu* chociaż
ideałów religijnych pracować—

Tłumaczyłem sobie, że krokiem stanowczym
niepokój rozbudzę w niejednej może duszy,
która mi zaufała i którą mój przykład wyko-
leić może—

Więc że nie godzi mi się tych dusz nieraz
słabych, wątłych na niebezpieczeństwo zwątpie-
nia o wierze narażać, a przez to pozbawiać
ich może głównej życiowej podstawy—

Chciałem wejść w jakiś kompromis sam ze
sobą — uspokoić siebie, że nawet ze zwątpie-
niem w duszy nie będę hypokrytą, skoro słu-
żyć będę religii, jak *ja* ją pojmuję, unikając
wyraźnego starcia z dogmatem—

A w duszy mojej jednocześnie rozpaczli-
wym, ostatecznym wysiłkiem tłumilem bunt
myśli—jeszcze ludzi się chciałem, że może—
może—znikną me zwątpienia— —

Próby—beznadziejne zresztą, czynione przez
wielu świątłych katolickich uczonych, — pogo-
dzenia wiary z rozumem zapomocą nowej in-
terpretacyi dogmatów, złudzenie to moje po-
części usprawiedliwiały—

Encyklika „O modernizmie“ rozwiąła resztki,
przeblęski złudzeń, których jeszcze dusza moja
rozpacznie chwytała się probowała— —

Teraz, kiedy w mojem przekonaniu katolizym taki, jakim go uczyniły wieki i jakim on jest bez żadnych obłudnych obłonek, nie jest Prawdą — kiedy już znikła mi z duszy wszelka nadzieja powrotu doń — faryzeuszem byłbym, hypokrytą, gdybym był nadal, czem byłem przedtem—

Choćby nawet nie słowem — bo mógłbym uniknąć nauczania rzeczy, w które wierzyć przestałem,—to szatą zewnętrzną, to faktem, że ją noszę, głosiłbym ludziom naukę, której za Prawdę nie uznaję więcej—

Spełniałbym tysiące praktyk, świętych dla innych, bez ducha, obłudnie, zaiste świętokradzko, bo bez wiary w świętość ich i moc—

Życie moje stałoby się—może krwawą, bolesną, w części nawet usprawiedliwioną—może bohaterską z pewnego względu — ale zawsze niegodną komedią—

I na to sumienie mi nie pozwala— —

Dopóki cień miałem nadziei, że się zmienię jeszcze,—zwlekałem.—Kiedym się przekonał, że nie — krok stanowczy był tylko postulatem zwykłej uczciwości—

Przykładem swoim zgorszę kogo?

Wątpię— —

Cisną ludzie na mnie kamieniem i pójdą swoją drogą — ci, którym ta droga jeszcze odpowiada—

A ci, którzy w sercu swoim już się z tej drogi wykoileili—którzy, jak ja wprzódy, jeszcze się łamią—którzy ludzą się jeszcze, że są w Kościele, a już w sercu swem wyszli zeń — których należenie do Kościoła na nieporozumieniu się opiera, na niezgodności z oficjalną interpretacją kościelnej nauki—

Tych, jeśli przykładem swoim w wątpliwościach utwierdzę—to będzie tylko przyspieszeniem dla nich tego, co i tak by przyszło, co przyjsć by musiało koniecznie—

Przykład mój będzie dla nich tym podmuchem wiatru, co dojrzały już owoc strąca—

Zresztą, jeśli piękną i słodką rzeczą jest *pokój*—to stokroć więcej błogosławiony i świętszy i piękniejszy jest *niepokój*, co do szukania *Prawdy pobudza*—

Jedno jest tylko zgorzenie, a tem zgorzeniem wszystko, co od szukania Prawdy odwodzi—co tę świętą w nas tłumi tęsknotę—

Dogmatyzm, narzucający ludziom prawdę—to zgorzenie szerzy—

Budzenie świętych tęsknot w duszach — to pchnięcie ludzi na krwawy bój ducha, na krwawe, bolesne szukanie, ale ono błogosławione zawsze, bo to warunek duchowego życia—postępu—odrodzenia—lepszego przyszłości—

Jeśli czynem moim kogoś, co wątpi, pobudzę, by śmiało—byle szczerze, czystym sercem i duszą — Prawdy szukał, nie oglądając się na nic, nie krępując się żadnym przymusem, nie pozwalając sobie oczu zakryć żadnej ręce — to owszem wobec Prawdy i przyszłości będę miał zasługę—

* * *

Walki Kościołowi wypowiadać nie myślę—ani żadnej w duszy mojej do niego nie żywię nienawiści—

Świętością on jeszcze dla wielu, ludzkość i ojczyzna nasza wiele mu zawdzięcza—to wystarcza, by szacunek mieć dlań—

Chcę Prawdy szukać i tem, co przemyślę, tem, co dusza moja za Prawdę uzna, dzielić

się będę z braćmi mymi, o ile z rąk moich przyjąć co zechcą—

I uważać nie będę na to, czy to, co za Prawdę uznam w sumieniu mojem,—podobą się komu lub nie—

Zwalczanie religii—o ile ona jeszcze pewnym ludziom odpowiada i służy im do dobrego i lepszymi ich czyni—uważam za rzecz niestosowną. Wolno i należy jedynie zwalczać przymus wszelki, co przeżyte, bezduszne formy, z których ludzkość już wyrosła, podtrzymać usiłuje przemocą fizyczną lub moralną — przemocą, co się w swoim czasie wyrażała stosami inkwizycji, a teraz jakże często sztucznem nastrajaniem opinii publicznej, bojkotem, szyderstwem, używaniem kłamstwa i fałszu w argumentowaniu. Bo wpieranie w kogoś zasad okłamywaniem go stwierdzonymi niby, a właściwie wątpliwymi lub sfalszowanymi faktami z historyi—to także przymus—

Religia ma prawo istnieć, o ile naprawdę ludzkim duszom odpowiada i lepszymi je czyni i do dobrego prowadzi — Nie ma racyi bytu, jeśli wewnętrzną siłę już traci, kłamstwem się utrzymuje lub ziemską tylko przemocą—

U nas wielu bardzo ludziom katolicyzm — w tej nawet co dziś formie — jeszcze odpowiada—przeto stawiać sobie za zadanie walki z nim nie myślę—

Wiele rzeczy z niego wziąć by się dało, co dźwignią by się stać mogły rozwoju i postępu—

(W dotychczasowych pismach moich starałem się właśnie uwzględnić te dodatnie siły, tkwiące w katolicyzmie, które u nas spożytkować by należało)—

Ale jeśli pod sztandarem katolicyzmu przemycać zechcą egoizm klasowy, umysłową reakcyę, niewolę myśli, bierność i bezmyślność duchową—i taran zeń robić do bram krwią i po-

tem wznoszonych budowiań lepszej przyszłości—
z tem w miarę możności walczyć będę—

Nie z katolicyzmem, powtarzam, jako takim,—ale ze zbrodniczem nałamywaniem religii do ziemskich, niskich celów—

Nie w rozdrażnieniu jakimś lub chęci zemsty występuję z Kościoła—lecz że Kościół już mi nie odpowiada — Dla innych może on być dobrym i pożytecznym jeszcze — innym może odpowiadać jeszcze—mnie już nie— —

To, co głosiłem dotychczas, jako ideały chrześcijańskie: dążenie do Prawdy—Dobra—wszechludzkiej Miłości—ogólnego szczęścia, hasła wolności—braterstwa ludów—sprawiedliwości społecznej bez względu na egoizmy różnych grup interesowanych—głosić będę i nadal—

To są hasła chrześcijańskie, ale i ogólnoludzkie — one tkwią w duszy ludzkości — one rezultatem wiekowej ewolucji ludzkiego ducha—

Przywykło się je nazywać chrześcijańskimi, bo w słowach Chrystusa najdobitniej zabrzmiały one, a w krajach, gdzie nauka Jego zaszczeponą została, najbardziej się rozrosły—ale one wychwycone niejako z serca ludzkiego przez Chrystusa zostały i są one dorobkiem wszechświatowej cywilizacji—

Pod tym względem *credo* moje się nie zmieniło—

Z temi hasłami żyć chcę i nadal—pod tymi znakami świętymi walczyć—

W ten sposób nie sprzeniewierzę się zobowiązaniom moim służenia Bogu—

W ten sposób nadal służyć Mu będę—sługą Jego i nadal pozostanę—

Tym, co się służbie wielkich ideałów poświęcił— —

* * *

Bo w tych warunkach, w jakich byłem do-

tychczas, nie mógłbym już służyć Bogu, jak Go dziś pojmuję—

W dotychczasowych warunkach nie byłaby to już służba wielkiemu Bogu, ale bluźnierstwo Mu—ale uraganie—

Jego—Prawdę Najwyższą—kłamstwem czcić bym musiał, obłudą, hypokryzyą—

Głosząc o Nim to, w co sam już nie wierzę, co za błąd, za fałsz uważam, co w mojem obecnem przekonaniu poniża Go, zmniejsza, doskonałości Jego ubliża, okrutnym Go czyni, gorszym niejako niż my—ludzie—

Jemu — Miłości — służyć bym musiał, zwalczając to, co do szczęścia ludzkości prowadzić może, broniąc różnych ustalonych i „uświęconych“ porządków, które źródłem nieszczęść i urąganiem elementarnej sprawiedliwości, — powagę Boga pokrywając panującą i potężną zbrodnię, a milczeniem—przemoc i krzywdę—

Jemu — co Życiem jest i źródłem życia — służyć bym musiał, życie tłumiąc, głosząc niewolę ducha, niewolę myśli, tamując rozwój, postęp, walkę świętą o wielką przyszłość, która pomimo wszystkiego przeznaczeniem ludzkości, do której ona pomimo przeszkód wszelkich dążyć chce—i dążyć musi—i dążyć powinna—

Jemu, co Wielki jest, Święty nad wszystko— służyć bym musiał, jak się służyło pogańskim bożyszczom — tysiąciami bez ducha i treści praktykami, tłumiąc zarazem w sobie i innych to, co najświętsze, co przez Niego samego wlane w naszą duszę i co jedyną jej wartością: wiekuiste i wielkie tęsknoty, nieukozone, wielkie, jak wszechświat, duchowe pragnienia, których w żadne klatki nie zamknąć, których w żadne kajdany nie zakuć, które dławić — zbrodnia, które więzić—świętokradztwo—

I sojusznikiem Go czyniąc wstecznictwa —
i sprzymierzeńcem tyranii wszelkiej — i ciem-
noty—i egoizmu—i krzywdy— —

Teraz służyć Mu chcę—życie moje w służ-
bie Jego zużyć, jak mi sumienie moje *dziś*
wskazuje—jak wierzyć *dziś* mogę—

Służyć Mu, wielkim ideałom służąc,—służyć
Mu, do *Prawdy* dążąc sercem całym, w wolno-
ści ducha, co żadnych więzów nie znosi — *du-
cha podnosząc walką o to, co najświętsze*, dąże-
niem do tego, co najwyższe, do Królestwa Bo-
żego — do tryumfu Dobra, Miłości, Sprawiedli-
wości, do najwyższego szczęścia ludzkości—

Służyć Mu nie suknią, nie bezmyślnemi
praktykami, nie szeptaniem niezliczonych pa-
cierzy, ale walką, ale poświęceniem dla tego,
co serca mego ukochaniem, — dla tego, co za
najlepsze uważam, — służyć w pogardzie dziś,
w prześladowaniu, wśród zniewag ze strony
różnych „obrońców Boga“ i różnych „miłośni-
ków“ Jego—jako „pośmiewisko ludzi i wzgarda
pospólstwa“—według słów Ś-go Pawła—

Służyć Mu — jak Mu wszyscy wyznawcy
„w duchu i prawdzie“ służyli—

„W udręczeniu i prześladowaniu“ — „in
aerumna et tribulatione“ — jak powiedział ten-
że wielki Apostoł narodów—

Służyć Mu — temu wielkiemu, świętemu,
jedynie miłości, czci i służby godnemu Bogu,
co Prawdą jest, Dobrem i Pięknem—i który
błogosławi wszystkim, do Prawdy dążącym—
który Dobra i Piękna nie tłumi i tryumf swój
na tryumfie Dobra, Piękna, Prawdy, Miłości,
Sprawiedliwości zakłada— —

I dziś dopiero—wolny w służbie tego Wiel-
kiego Boga—zawołać chciałbym ze Św. Igna-



cym, gdy na pożarcie przez dzikie zwierzęta jechał do Rzymu:

„Teraz zaczynam być uczniem Chrystusowym!“

* * *

Wiem dobrze, na co się narażam, decydując się na krok stanowczy, w naszym zwłaszcza społeczeństwie tak bardzo konserwatywnym, w naszych czasach tak jaskrawie reakcyjnych—

Ale jak się nie pytałem naszej opinii, gdy zgodnie z ówczesnym przekonaniem moim wstępowałem na drogę, którą szedłem dotychczas tak teraz pytać się opinii nie będę, gdy z drogi tej schodzę, by innej szukać—

W zgodzie z przekonaniem moim chcę być—a nie koniecznie z naszą opinią—

I winienem społeczeństwu memu szczerść i prawdę przedewszystkiem—

Sądzić mnie wolno, jak kto chce, i potępić, jeśli się to komu podoba—Mnie wystarcza świadectwo sumienia mego, że czynię dobrze, bo mi tak każe prosta uczciwość—

Nie godzi się myśleć inaczej, a czynami czemu innemu dawać świadectwo—Nie godzi się Kościołowi niby służyć, a nie wierzyć w Kościół—brać jałmużnę za religijne posługi, których się nie uznaje,—komedyę grać tam, gdzie głębokiego trzeba przekonania—

Wiem zgóry, czem tłumaczyć zechcą krok mój—Ludzie, co sami nie miłują Prawdy, co wielkiej za nią tęsknoty nie odczuwali nigdy, co życia swego jej poświęcić nie są zdolni, dla których ona dźwiękiem pustym lub maską tylko obłudną—tacy nie uwierzą nigdy, aby miłość ku niej samej mogła mnie pchnąć na nową drogę—

Nie duchem, lecz ciałem tłumaczyć będą to, com uczynił—

Zresztą—to ogólnie przyjęta taktyka w pewnych sferach, bo w ten sposób najłatwiej człowieka zohydzić w niezbyt wybrednej naszej opinii publicznej i ocalić honor Kościoła, którego prawda—jak się mówi—jest tak oczywista, że tylko zaślepienie, co z upadku zupełnego wypływa, przeoczyć ją może—

Nie pierwszego mnie tak sądzić będą i nie ostatniego—

I wiem—z doświadczenia wiem już nawet—do jakich intryg, insynuacyj, plotek zdolni są ludzie, by dobrą sławę Kościoła ratować, a „odstępce“ zohydzić i wpływ jego sparaliżować—

Oni—niech robią, co chcą— —

Nie jestem bez grzechu, jak niemasz bez grzechu nikogo—Człowiekiem jestem i owszem przyznaję, że nietylko bunty ducha są mi znane, znam wszystkie walki, z którymi człowiek na drodze życia spotkać się musi—

Niemasz wojny, co z samych zwycięstw się składa—i w życiu mojem nie same były tryumfy—Jeślim wszakże upadł kiedy, to po krwawej walce i krwawemi mój upadek okupywałem łzami — Były to tragedye życiowe, nie lekkomyślne szukanie ziemskich rozrywek—

Ale choć granitowej cnoty sobie nie przywłaszczam — z całą świadomością możliwych złudzeń, gdy się sąd we własnej wydaje sprawie—w szczerości sumienia wszystkim ludziom dobrej woli oświadczyć mogę—

Że nie uboczne względy, nie jakiś żal za życiem, którego wiosna już przeszła, nie tęsknota za ziemską radością, nie protest serca, które w łańcuchach szarpało się długo, i nie uraza jakaś lub obrażona duma czy ambicya—ale miłość Prawdy i wstręt do obłudy i hypokryzyi przyczyną są kroku mojego—

Wstąpiłem na drogę, po której szedłem do-
tychczas, bo mi się zdawało, że na niej Prawda—
Nie schodziłem z niej, dopókim w to wierzył—
Dziś inne mam przekonania, więc bez względu
na wszelkie skutki innej też szukam drogi—

Tem chcę być—czem jestem—

Tem się okazać—czem się czuję—

Tak czynić—jak wierzę—

Mylić się mogę i teraz i, jeśli przekonam
się o tem, myślę, że nie zawaham się na klę-
czkach, jako pokutnik, przyjść do tej samej
furty klasztornej, za którą wyszedłem,—i choć
może mnie niegodnego przyjąć za nią znowu
nie zechcą, jak brata, to przynajmniej, jako po-
kutnikowi, zgorzenie dane opłakać pozwolą—
I wtedy również światłej naszej opinii o radę
pytać nie będę—

Dziś to czynię, co sumienie *dziś* mi każe,
po długim, długim namyśle—i ciężkich, bole-
snych bardzo walkach— —

* * *

I otę stoję wobec nowego, nieznanego życia,
wobec nowych nieznanych kolei—

To—co było mi wprzód światłem, — opu-
ściło mnie—Słońce, co mi dotychczas świeciło,
zaszło kędyś za smutną, ciemną chmurę—i noc
czarna teraz wokół mnie—i w ciemność jej
brnąć mam, po nieznanych ścieżkach, po ob-
cych jakichś polach, po zdrad pełnych dro-
gach—

I nietylko samotny, ale nienawidzony przez
tych, co do dziś braćmi mi byli—i bliskimi—
i towarzyszami—

Jako wyklęty i ludzkiego obcowania nie-
godny—

Jako pogardzony tułacz—wygnaniec—

Jako taki, przed którym matki z przerażeniem dzieci swe chować będą—

Jako mnich-apostata—w przekonaniu większości—zdrajca Kościoła i zdrajca Zakonu—

I z duszą zranioną tą straszną 10-letnią walką i szarpaniem, z duszą, co już wygasłym wulkanem,—z sercem, które zanadto kochało, by jeszcze zdolne było co z równą siłą ukończyć, i które zanadto strzaskane zawodem, by żyć jeszcze mogło—

Isć mam—czy wlec się może, jak tułacz, rozbitek—za tą boską kochanką moją—za Prawdą—

Tak umiłowaną, a tak nielitościwą, co ludzi, zwodzi—i kryje się gdzieś—ucieka i tęsknić za sobą każe i tęsknotą męczy—

A czy ją znajdę? Nie wiem—

Czy może w szukaniu tem samotnem i smutnem zbląkam się i—zamiast w światło isć, w dzień jasny wielkiego poznania—w noc jakąś zabrnę, jeszcze straszniejszą, w jakieś przepastne knieje, nad otchłań samą rozpaczy?

Nie wiem—

Ale pójdę—

Pójdę—i szukać Prawdy będę—i isć za nią lub wlec się, gdy nogi zmęczone lub zranione drogą, służyć mi przestaną—i oczy wlepiac w ciemność wyglądając, zkad błysnie światło—

Pójdę—

A jeśli po wysiłkach wszelkich, by Prawdę odnaleść, zbląkam się—zginę—

Jeśli grób mój smutny przeklętem miejscem nazwą ludzie i omijać będą z przesadnym strachem, drżąc, bym widmem ciemnem nie wstał z grobu—ufam, że Ten się ulituje chyba, co Prawdą sam—i co w serce moje tę mi—

łość zasiał do Prawdy—i którego czci się szukaniem i wiekuistą za Prawdą tęsknotą—

A ludzie niech zapomną lub przeklą—

I iść tak będę lub wlec się przez życie—
ze smutkiem w duszy—przekleństwo braci moich
krwawiącym się przyjmując sercem, choć obojętną, zimną twarzą—

Lecz z poczuciem, że wszystko to—
Dla Ciebie, Prawdo boska— —

Lecz może znajdę Ciebie—i odpocznę w Tobie—

W blaskach oblicza Twego?

Iść będę— —

Bo wiekuista za Prawdą tęsknota i wiekuiste tej Prawdy szukanie i męka wszystka życiowa dla Prawdy zniesiona, choćby wśród nocny wiecznej, wśród mroków bezgwiazdnych—
choćby wśród upadków i smutnych zbłąkań—

Jedynem człowieka zadaniem—i najświętszym jego obowiązkiem—i najwyższą, jedyną jego chluba—

I najwyższą, najświętszą czią Tego, co w duchu i prawdzie uczczonym być chce—

I jedyną, najświętszą religią—

Szukać Prawdy zawsze, zawsze—bez względu na wszystko—przeciw wszystkim—

Przeciwko niebu, jeśli to być może—
i przeciw piekłu, jeśli jest ono—

Bo Prawdy szukać—to szukać Boga—

Bo Bóg—to Prawda—

* * *

Wy wszyscy, którzy z miłości dla Kościoła,

spotwarzonego jakoby przezemnie, nienawidzi-
liście mnie—którzy za jakąś zakałę Kościoła
ogłosiliście mnie i boleliście nad tem najbar-
dziej, że jako sługa Kościoła posłuch mam
u ludu na zgubę dusz tego ludu—i którzyście
z tak serdeczną modlitwą zwracali oczy ku
niebu, bym od Kościoła odstąpił— Wy się
cieszcie teraz, podziękujcie Bogu, że was wy-
słuchał i zakałę od Kościoła odjął już—i zgni-
liznę od zdrowych członków oddzielił—

Wy—którzyście dotychczas byli ze mną—co
dobra o mnie zachowaliście opinię, pomimo wszel-
kich zarzutów, jakich mi nie szczędzono—i któ-
rzy walczyliście o mnie i stali przy mnie, zno-
sząc nieraz przykrości i narażając się naszej
wszechmocnej „opinii katolickiej“—a którzy
teraz zgorszycie się ze mnie i żałować będzie-
cie, żeście już dawniej na mnie, jak „Rola“, się
nie poznali—wy mi przebaczcie, że kłamać nie
chcę, lecz prawdę w życiu swem zachować,
jak jej służyć chciałem w mych pismach—

Wy mi przebaczcie, że nie chcę nadal być
księdzem-hypokrytą, choć to z wielu wzglę-
dów dla mnie i dla innych wygodnie by było—

Wy, którzy i teraz jeszcze zostanieie przy
mnie i których krok ten mój nie oburzy—wy,
którzy sami walkę macie w duszy i nie dzi-
wicie się, że kto inny mieć ją mógł—wy, co
mi ufacie i teraz jeszcze, nie naśladujcie mnie
bezkrytycznie—nie czyńcie nic dlatego, że *ja*
tak uczyniłem—ale Prawdę rozpalajcie w du-
szy i śmiało Prawdy szukajcie, choćbyście do in-
nych zupełnie niż ja, doszli wniosków—Nie czyń-
cie, co ja czynię, ale niech was mój przykład
raczej do szczerzego szukania Prawdy po-
budzi—

A ty, ludu polski, któryś dotychczas przy-
mował słowa moje, jako kapłana, jako sługi Bo-
żego, chciej je i nadal przyjmować—przyjmo-
wać, jako od tego, co Cię ukochał i dobra Twego

pragnie duszą całą i w twojem szczęściu widzi szczęście ojczyzny, przyszedł blask jej chwały—i jako od sługi Prawdy, co kłamstwem i obłudą służyć jej nie chce—

A jeśli pogardzisz mną dziś—będzie to dla mnie bólem największym, alem gotów i na to—i jeśli nie dla dzisiejszych pokoleń—to dla przyszłości pracować będę— —

Wreszcie ostatnie słowo moje do was niechaj będzie—wy, wśród których ostatnie 12 lat życia mi przeszły—którzyście ojcami mi byli—i towarzyszami i braćmi—którzy choć innych byliście niż ja przekonań, choć cierpieście nad tem, coście za upadek mej duszy uważali—aleście mi nigdy chrześcijańskiego nie odmówili serca ani chrześcijańskiego współczucia, choć sami przezemnie i dla mnie „hańbę“ nieraz od różnych żarliwców katolickich znosić musieliście—

Wy choć od niegodnego was brata niegdyś przyjmijcie wyrazy wdzięczności i czci głębokiej i wy mi przebaczcie, że was zasmucił—

A jeśli źle uczynił, wy módlcie się za mnie—i modlitwa wasza niech mi towarzyszy wśród dróg nieznanego żywota, na które samotny wstępuję—

Jeżeli w błędzie, to modlitwa wasza, jak anioł jasny, kiedyś jeszcze do was znów mnie za rękę przywiedzie i „marnotrawnego syna“ wam odda—

I nie potępiajcie mnie, lecz miłujcie, choćbym i w błędzie był— —



28—VIII—1908

25k

F
5726